

Skrzeczanie

Zaskrzeczałam.

I poniosło się po polach głosem samozwańczo ludzkim – w pysze swojej raduję się więc, że umiem mówić – to znaczy ugniatać dźwięki jak masło i nadawać im znaczenie tego, co mnie otacza, a czego nie pojmuję.

Śmiem twierdzić, iż w płątance dźwięków potrafię zamknąć istotę rzeczy. A nawet więcej, bo samą esencję, istotność owej istoty. Zdarzyło mi się więc pochylić nad tworem doskonałym, pierzastokształtnie korzennym, głowistym w żyłkowane nitki i wymruczeć: „kwiatek” – bełkotliwym owym gniotem umieszczając nieuchwytność znaczenia we własnym systemie pojęć. I od tej pory wierzę święcie i nieprzejednanie, iż, gdy znajdę się na łące i dobrze wyćwiczonym ruchem skruszę w dwóch palcach zielony kręgosłup, podnosząc wiotką giętkość do twarzy, zrozumieć dokładnie, co trzymam między palcem wskazującym a kciukiem.

Zarozumiałe rozindyczona wypręgam szyję i skrzeczę z triumfem: „To jest kwiatek!”, całkiem nieświadomie, ale jednak do końca pewna, że dzięki nazwie zapoczątkuję istnienie. Dopiero później, o zmierzchu, wracając wywrotami gliniastych kolein do domu, zachłystuję się nieuchwytnym drgnieniem przeistoczenia dnia w noc. W moim umyśle wdzięczą się wtedy różnobarwne pawie pióra, plamki określeń i znaczeń aż po trzeszczenie dźwięku między zębami i nagle ogarnia mnie niecierpliwłość z odcieniem rozpacz, że nie pasują, że to nie do końca tak, i z braku słów jęczę żałośnie. Wtedy po niemile klucie w boku uwiera mnie ten brak części składowych, określonej definicji, zamykającej raz na zawsze męczącą kwestię, co przedmiotem jest, a co już nim nie jest. Niestety! Obarczona człowieczym rozumieniem spraw wzruszam ramionami, tylko przez chwilę pokornie przyjmując fakt, iż nie docieram do pierwocin gleby.

Cała ta moja gmatwanina w dźwiękach i samostowne dręczenie związane ze świadomością ograniczeń mowy ma swój początek w pewnym niepozornym zdarzeniu sprzed kilku miesięcy, gdy w Bardzo Dużym Mieście skrzeczałam na skwaronym placu. Naprzeciw mnie był tłum, cytryny i mandarynki. Wszystko cierpkie.

– Słowa są nam potrzebne! – rozdzierającym głosem wywlekałam z siebie gromkie w tonie i znaczeniu sylaby – Bo pozwalają zaznaczyć granicę przedmiotu i wyodrębnić go z tła... zakładając oczywiście, że owa granica nie jest płynna, a tło nie pełni szczątkowej funkcji w przedmiocie. Jeśli więc przedmiot pozostanie tworem stałym i jednolitym – dostrzegamy go i, chcąc zrozumieć, nadajemy nazwę.

Przez kulmuć czubków głów złupieżonych, głów tysawych, tworów głowopodobnych, rozplaszczonych beretem przeszedł gniewny pomruk niezrozumienia. I choć cała lśniłam od zaangażowania, mój wzniosły głos uciekał pod dachy rozrzucone tu i ówdzie w gołębiach.

– Nazywanie to nasz sposób na zrozumienie świata – ciągnęłam niezrażona, choć głosem momentarycznie wpadającym w nerwowe trele. – Proszę szanownego państwa, niech szanowne państwo zastanowi się szanownie, kim bylibyśmy bez owego cudownego w brzmieniu i określoności znaczeń tworu, owej perelki jedynej i tak wyjątkowej, to znaczy słowa! Tak, proszę szanownego państwa, to, co tak szanownie odróżnia nas od istot nierozumnych, to zdolność do utrwalania przedmiotu w brzemiennej w brzmienie nazwie! Żyjemy w otoczeniu tego, czego jesteśmy świadomi! A, proszę szanownego państwa, świadomość wymaga pojęć, którymi może obracać! Cóż to oznacza dla nas? Cóż to dla nas oznacza... – I w tym momencie zająknęłam się, potknęłam języcznie na ostatnim „a”, po raz pierwszy nie znając odpowiedzi na własne buńczucznie rzucone w tłum pytanie. Palce grzbały w uszach, małe dziecko z dużą głową kolebiąc się w te i we w te w takt podrygów ramienia mamusi ryczało rozjękłe i kwaśno. Poza tym cisza piętrzyła się w moim umysłowym wysiłku. – Oznacza to... – zaczęłam wolno i nagle zgoła niepewnie. – Oznacza to, proszę szanownego..., że aby istnieć, aby żyć świadomie, musimy najpierw uzyskać własne miano... własne MIANO. – I tu zająknęłam się ponownie, jakby po raz pierwszy owo słowo na „m” wytrzeszczyło się we mnie, rozdarło w niebogłosy całkowicie świadomie. Jakbym oto wreszcie połączyła MIANO ze słowem. Ciągnęłam dalej powoli, przesączaając dźwięki przez własne zadziwienie. – Aby móc sobą obracać w rzeczywistości, którą... śmiemy nazywać codzienną i sprowadzać do upokarzającej liczby wymiarów trzech, potrzeba nam... nazwy własnej.

I w tym właśnie momencie, wśród cytryn i zapotniałych koszul, olśnił mnie błyskiem jakowymś fakt groźby, smolistego straszdyła tak niebezpiecznego w swej oczywistości.

Oto ja, ja sama, skrzecząc ogniście na i tak już rozgrzanym placyku, tak naprawdę... nie robię nic. Siedzę na dwóch jakże przewłasznych pośladkach. Tyle.

Uznając za oczywisty fakt własnego nazwania, przyjmuję go tak, jak się przyjmuje zaproszenie na pączki z kremem waniliowym – z uprzejmym ukłonem i zębiastym uśmiechem. I już oto potrafię gorące ludzkie mięso sprowadzić do kilku dźwięcznych sylab, szczekotu zawołania. Siedząc spokojnie na tyłku w rozfutrzoną fotelu, nie zastanawiam się wcale, co magdyczące „Magda” ma wspólnego z moją jaskrawą myślą i niespokojną dłońią. I dlaczego właśnie „Magda”, a nie „Damgda”. I w jaki sposób utożsamiałam się z tym zbiegiem, zbiegowiskiem wręcz okoliczności głosek. Leżąc plackiem na słonecznych plackach, nie rozgryzam na gruzelki choćby zająknąć wątpliwych, za pewnik przyjmując fakt, iż maziste „Madzia” jest tym właśnie, czym ja jestem. I że, gdybym miała na imię, dajmy na to, Kornelia, byłabym kimś zupełnie innym, boć przecież nie mogłabym zostać sobą w swej własnej sensowności, gdyby na ulicy wołano mnie „Kornelciu!”.

Nie Madziu, Magdo, Magdeczko.

Niepodobna zgoła.

Tak właśnie strzeliło mnie prosto między uniesione łopatki, na placyku skwierczącym od żaru i trących o siebie szmerów.

Ucichłam.

Uderzona nagle całą serią obrazów, obrazków i wniosków zesłałam z krzesła i w obecności tłumku stopniałego od stońca i mojej niedawnej przemowy – wybuchłam płaczem pra-

wie tak flegmistym, jakim dalek zanosilo się dziecko z rozkolebaną główką. I kiedy usiadłam na ziemi, rycząc w niebogłosy, w pełni gotowa rozkolebać własną główkę, w drżącej od konsternacji ciszy ktoś zaczął klaskać. Nieśmiało. Lecz po chwili inni gorliwie podjęli rytmiczne kłaptanie płatowatych dłoni, z ulgą uznając tę czynność za właściwą i społecznie akceptowalną reakcją na ludzki ryk pod krześlanym podium. Jakieś drżące paluszki cisnęły mi na kolana śniętą w celofanie różę... „Dziękujemy za wystąpienie, pani Magdo, proszę państwa...”, „krótka przerwa na lancz...”, „podziękujemy sponsorowi konferenc...” i tak dalej i pospieszny szurgot stóp, oddalające się hulaśliwe dziecko...

Zawylałam donośnie, domagając się chciwym rykiem należącej mi uwagi, trrrroski i współczucia! Ale ludzie oddalili się pospiesznie, długimi skokami pędząc w kierunku stołów umęczonych w kanapkach i papierowych kubkach z ciepłą colą. I prawdopodobnie wrostabym jękiem na dobre w przednią krześlaną nogę, gdyby po chwili w przestrzeń zatwardziały, kwadratowych płytek, tuż obok mnie nie wtłoczył się Pan.

Nie chciałam go. Ani tych jego ostrokostnych kolan, gdy z obrzydliwym strzykaniem usiadł po turecku, ani tej gładkiej główki bez jednego włoska, ani nawet samego „ani”, samego zaprzeczenia jego osoby nie chciałam, bo wymuszało wysiłek i pierwotne uznanie faktu, że Pan jest.

Pan był.

Oglądał swoje pomarszczone dłonie z uwagą i spokojem uwłaczającym mojemu rozdzierającemu wyciu. Szlochnęłam raz jeszcze, zaczynając melodyjnie, od niskiej tonacji, by po chwili przejść w stęki urywanych pojękiwań, bacznie, spod przesąku powieki, śledząc reakcją mojego chodnikowego intruza. Pan nie zareagował. Westchnął i szybkim, nader zwinnym ruchem wydobyl z kieszeni równo poskładaną chusteczkę, obszytą subtelną koronką.

– Hm, tak, nie da się ukryć, iż ciepło dzisiaj, hm, ciepło. Nie sądzi pani? – spytał lekkim tonem, po czym, odchrząknąwszy raz jeszcze, skupił całą uwagę na odwilżaniu tysej, błyszczącej czaszki. Przełknęłam glutowate szlochnięcie, przyglądając się w zadziwieniu owej misternej operacji.

– Muszę przyznać, hm, że mówiła pani nader rozsądnie, tak, nie da się ukryć – podjął melodyjnie, ugrzecznieniem tonu i postawy, całkowicie ułaskując moje najeżone kolce.

– Nno tak. Dziękuję bardzo – wystękałam przeciągłe przez zatknięty nos, uspokajając powoli siebie i własne rozwichrzone w poczuciu bezsensu starań myśli. Bo też skoro miano nade mną, poprzez miano ja, to kto tu nad kim ma władzę? I czy rzeczywiście istnieje tylko to, czego jesteśmy świadomi? Czy może jesteśmy świadomi jedynie tego, co nazwaliliśmy, a oprócz tego wokół nas... I w tym momencie znowu wisielczym kłębem opadła mnie trwoga przed zbytnią poufałością, przed bezmyślną akceptacją własnego nazwania. Czy mam rację? Czy jednakowoż moje zastrzeżenia...

– Jednakowoż mam pewne zastrzeżenia, hm, tak, nie da się ukryć, mam – zaczął powoli Pan głębokim tonem, wyrywając mnie dziwnie jednakim zbiegowiskiem słów z zamyślenia. – Jeśli pani pozwoli, hm, nie chciałbym urazić, parę szczegółów, które nie tyle sprzeczne, ile uzupełniające, tak właśnie, uzupełniające tok pani, nader rozsądnego, nie da się ukryć – rozumowania.

Pan spojrzął na mnie z zapytaniem odmalowanym w głęboko osadzonych brązowych oczach, lekko już ukrytych pod zawistością starczych powiek.

– Ależ proszę bardzo – wynosowałam pospiesznie, nadal nie mogąc przebić oddechu przez zaczipowane niedawnym rykiem dziurki. – Przepraszam bardzo za... za ten napad – dodałam z nagłym zawstydzeniem.

– Doprawdy, nie ma za co. Takie rzeczy przydarzyć się mogą, hm, nie da się ukryć, gdy rozważa się temat tak trudny i... niebezpieczny. Proszę nie patrzeć na mnie z takim zaskoczeniem! Mówienie o słowie nie jest łatwe i, jak wszystko na tym tak, hm, niezrozumiałym świecie, ma swoje konsekwencje.

Oddychałam płytko i niespokojnie przez wpółotwarte usta.

– Niebezpieczny? Rzeczywiście w pewnym momencie odczułam jakby... jakbyśmy my, ludzie znaczy się...

– Słowo to rzeczywiście ogromny dar – nie zwróciwszy uwagi na moje słowa, Pan ciągnął powoli, miękko wypuszczając kłębki pojedynczych słów spomiędzy bladych warg. – Miała pani całkowitą rację w swym, że się odważę na to słowo, uwzniośleniu podczas przemowy. Tak, nie da się ukryć. Jednakowoż proponowałbym więcej... pokory. Tak, to jest właściwe określenie. POKORY.

I po tych słowach mój współmówca, współgadacz, współbelkotliwiec na tym wewnętrznie wyłączone sobie, czystym powietrzu – zamilkł. Ścisł. Skurczony jakby pod nagłe zakłębł bezdźwiękiem zgarbił się lekko, utracił kanciastość kształtu.

– Nie ma w nas pokory – podjął po chwili głosem cichym i rozedrganym gardłowo. – A przecież próba zamknięcia przedmiotu w słowie nigdy się nie powiedzie. Nie może się powieść! – I z jego przybladłego oka wytoczyła się łzawa drobina, stony błysk. Najpierw bezkształtem miął dolną powiekę, zawisła na jej krawędzi rosnącą miarowo kroplą, aż w końcu, przełamując graniczną lepkość, spadła perlistą łezką, łagodnie pokonując łuk policzka i wpadłszy w głęboką bruzdę, znikła w okolicy gładko wygolonej brody.

Cisza stężała znowu, rwana tylko chwilami to bliższym to dalszym stukotem obcesowych pantofli czy paćkaniem psich łap. Tylko ten łzawy błysk szklany tak mnie zauroczył, tak rozedrgał wewnętrznym dreszczeniem, że oto poczułam, jak moje własne oczy pokrywa wilgotna mgiełka, i z trudem powstrzymałam dopiero co zakleszczony w nosie szloch. Pan zwiesił się smętnie koło krześlanej nogi i, nie odrywając wzroku od piaszczystych grudek w szczelinach chodnika, stwierdził:

– Bez sensu.

Po czym westchnął. I jeszcze raz. I raz jeszcze. I znowu miałam wrażenie, że jeszcze chwila, moment krótkobrzmienny, oto ja też rozdycham się haniebnie bez większego związku i celu – boć przecież pojęcia nie miałam, czemu Pan wzdycha czy ryczy.

– Jak można być tak zarozumiałym, by podjąć się próby definicji przedmiotu... jak można w pysze własnej twierdzić, iż jest się w stanie dostrzec wszystkie jego elementy.

Wymruczał niepokojąco łamliwym głosem granicznym w szlochastym jęku.

– Skoro przedmiot nie jest bytem stałym i niezmiennym... tak, zbłądziliśmy już w momencie tworzenia samego słowa „przedmiot”. To, co tak zwiemy, jest w rzeczywistości... procesem. Wiecznie zmiennym, zatrwającąco niestałym, jednorodnym tylko w ułamku sekundy,

by po chwili przeobrazić się już tysiącrotnie. Przecież, dajmy na to, drzewo... gdy mówię „drzewo”, przed oczami staje mi wysoki dąb o grubych konarach i chropawej korze... a przecież drzewo to też to nędzne, złamane brzoziątko pod moim oknem. Nazwij drzewami obydwa, a potem pokaż wędrowcowi, który przeszedł tego dnia ileś tam kilometrów, zwalony dąb i spytaj, jak je zdefiniuje – jako drzewo czy miejsce do odpoczynku, prowizoryczną ławkę? I czy to – według słownej definicji – jeszcze drzewo czy już ławka? Wedle czego należy definiować? I kkkto ma prawo to rozsądzić... kkomu dać prawo nazywania? Człowiek próbuje zamknąć w słowie ssstałym i jednolitym coś, co z natury swej jest zmienne! – i wtedy Pan rozszlochał się rześście, a jego starcze policzki rozedrgały się gwałtownie pod natłokiem łzawych kropli. Płakał szczerze i zapamiętałe, podobnie jak ja jeszcze niedawno, jakby ten temat – temat słowa – nieodłącznie wiązał się z wylewaniem oczodół na ścisty świat.

– Gdyby tkak się dałto zrozumieć tto... jakkkoś pojąć istotę choć jednej rzeczy... ale wystarczy minuta i zmienia się nie do poznania! Już tak długo... tak próbuję... ppoznać... ppojąć... ppo... i wszystko to wszystko po tylu latach... iii... iii... DUPA!

Wyrzucił z siebie nagłym wywrzaskiem owo głębokie w treści i wyrazie zawołanie, po czym zerwał się z miejsca i, złapawszy się za okrutnie bezwłosą czaszkę gestem wyrwacza włosów, pognął w kierunku ogołoconych stołów i, przesadzając się rozkracznie długimi skokami, zniknął w końcu w promieniach zachodzącego słońca.

I cóż mogę rzec? Cóż rzec mogę o sobie samej, przytulonej jeszcze czas jakiś do krześlanej nogi, by w końcu w lekko pomżatej szarówce popęznąć pod ścianami budynków do domu?

* * *

Następnego dnia po owej dziwacznej chodnikokształtnej wymianie zdań wyszłam na Świat i już na progu Zewnątrz zmużyłam oczy, a kolana ugięły się przede mną. Oto tysiąc rzeczy w tysiącu milisekundowych przemian, w dynamice ruchu, zatrwającąco pędzie przeobrażeń, i jak pojąć, i czy w ogóle jestem w stanie – nie mówiąc już o zdolności znalezienia odpowiedniej nazwy...

Oto ławka, w tym momencie naświetlana lampionem słońca, a więc w pasiastym kształcie desek rozgrzewana powoli i przez to co chwilę inna i znowu zadziwiająco niepojęta. Gdy zdobędę się na ów gest i usiądę na niej (ostrożnie, boć przecież na rzeczy, której pojąć nie jestem w stanie), ławka zmieni się zupełnie! W potworach przeobrażeń zaskrzypi, ugnie się, zdziwaczeje nagle tworem zgoła niepodobnym, napnie się łukoprężnie i na ten jedyny moment zmiesza własną istotność z istotą mych szacownych pośladek, co pręgowanym rozplaskiem staną się częścią ławki! Co więcej, owe pośladki – dotychczas prze-własne i tylko moje – zmienią gwałtownie swój pulchny wymiar na rozplaszczone, pasiasto rozkawałkowane, dziwaczne Nowopośladki! Nowopośladki bolące od twardości desek, w jakiś sposób z owymi deskami złączone w oczywistości doznań!

Pomyśleć, że dodać do tego inne zmysły jeszcze – na przykład włączony w odbiór ławki fragmentaryczny świergot, szumnie zastające drzewa, ostrą woń świeżo skruszonej trawy – tyle, tyle jeszcze, a każde z nich na ten moment tysiącrotnie pomieszane z setkami innych elementów! W pięciomysłowym zaledwie skurczeniu opisać ułamka sekundy nie jestem

w stanie! A oto śmiejem wypiąć brzuszysko i gromkimi słowami wgniatać pęd przeinaczeń w nazwy! Nazwy potrzebne, niezbędne nazwy, tak jednak wrzaskliwie bezkarne, rozdęte w bezmyślnej dufności zakleszczającej definicji.

I turlam się po tym świecie, wyskrzekując owe dźwiękowe twory w samownętrzach spokojna, podskórnym zadowoleniu z owego wyniętego w zastanym przewrocie fragmentu, który śmiejem nazywać prawdziwym światem!

I kiedy po raz pierwszy zaskrzeczałam – poniosło się po polach głosem samozwańczo ludzkim. Od tego czasu w pysze swojej raduję się, że umiem mówić – to znaczy ugniatać dźwięki jak masło i nadawać im znaczenie tego, co mnie otacza, a czego nie pojmuję.



Justyna Kościelna rysunek nr 1